

dzieży w niby polskich szkołach stało się nadzwyczaj tanie... Musiałem iść do pracy.

Rychło obwieszczono, że wszystkie lampowe odbiorniki radiowe, posiadane przez obywateli, mają być oddane „na przechowanie”. Myśmy mieli wówczas nowiuteńkiego Philipsa, pięcio lampowego, kupionego pół roku wcześniej; jeszcze nie wszystkie raty za niego zostały spłacone... Ojciec wtedy powiedział, że go schowa u siebie w magazynie – może w ten sposób odbiornik doczeka lepszych czasów. Razem z naszym spoczęło w magazynie jeszcze kilka innych, których właściciele przyjaźnili się z Ojcem.

2. Piątka z ulicy Lubomirskiego

Cieplejszą porą roku, jak tylko zniknęły białe płachty śniegu, łąkowałem z kolegami po podkrakowskiej okolicy. Było nas pięciu bliżej zaprzyjaźnionych chłopców, rówieśników, spośród których najczęściej wspominać będę Sławka Brochockiego. Dziś jest znanym i uznanym malarzem – artystą, żyjącym nadal w Krakowie przy ulicy Lubomirskiego 3. Poznałem go w czwartej klasie szkoły podstawowej – jest to zatem człowiek, którego znam w moim życiu najdłużej, bo aż sześćdziesiąt sześć lat; utrzymujemy ze sobą kontakt, do dzisiaj, najlepiej się znamy i rozumiemy. Później dołączył do nas Poldek Torba i Zdzisław Stukus. Imię Stukusa nakłada się z imieniem mego Brata; dla odróżnienia o Stukusie pisał będę „Żdzisek” – tak, jak go nazywano w jego domu. Najpóźniej przystał do nas, puszający się nieco „kadecek” – Edward Błaż (przed wojną '39 należał do Korpusu Kadetów i tam pobierał nauki; stale widziało się go w mundurze).

Obok rodzinnego było to grono najbliższych kolegów, z którymi spędzało się wiele czasu wolnego od nauki. Dziś myślę, że nasze wspólnie przeżywane zabawy, figle, doświadczenia, wycieczki – to była pewna szkoła życia, w której realizowały się nasze wspólne pomysły, umiejętności... Przebywając razem – stawaliśmy się, szukając podświadomie ścieżek, którymi każdy z nas w niedalekiej przyszłości miał samotnie podążać.

Kiedy pora roku była chłodniejsza – zbieraliśmy się wieczorami u Sławka Brochockiego. W jego domu (właściwie było to mieszkanie, należące do jego Dziadka) było najwięcej miejsca, gdzie nasza piątka mogła się pomieścić. Opowiadaliśmy sobie wydarzenia dnia, „przetrawialiśmy” wspólnie zasłyszane zmiany w świecie, snuliśmy plany wycieczek i zajęć.

Centralną postacią domu był, oczywiście, Dziadek Sławka – w większym stopniu, niż jego Mama, która pracowała w zawodzie nauczycielskim w odległych Stępcicach (w powiecie miechowskim) i przyjeżdżała w okresach świąt i wakacji. Dziadek, kiedy go poznałem był starszym panem blisko siedemdziesiątki. Chromał na jedną nogę i zawsze widywało się go z nieodstępną laską. Zaglądał czasem do nas, ale mało co mówił. Traktował nas jednak coraz poważniej w miarę jak dorastaliśmy. Zaczął z nami rozmawiać, interesował się naszymi losami a niekiedy pewnie i naszymi pomysłami. Budził we mnie zawsze najwyższy szacunek przez swoją mądrość, znajomość łaciny i innych gimnazjalnych przedmiotów, które doskonale pamiętał z czasów swej edukacji. Trochę się go bałem, ponieważ był zawsze poważny a nawet wydawał mi się trochę surowy. Ale to były tylko pozory. Najlepszym dowodem Jego dla nas sympatii było to, że sam zaproponował wspólną grę w preferansa i nauczył nas jej zasad. Gra, zbliżona do brydża i też poprzedzona licytacją, miała interesującą odzywkę, zwaną „mizerką”; gracz który ją deklarował, zobowiązywał się nie zabrać ani jednej lewy. Wtedy słyszeliśmy Jego śmiech i żartobliwe komentarze, towarzyszące grze.

Z dzisiejszej perspektywy sędzę, że Pan Beniowski był Dziadkiem nie tylko Sławka, ale po trosze nas wszystkich – tym bardziej, że żaden z pozostałej czwórki swego Dziadka już nie miał. A mógł być i naszym Przewodnikiem i Opoką w tych trudnych, okupacyjnych czasach. Mimo, że o takich rzeczach jeszcze się wówczas nie myślało, starsze pokolenie – być może – uratowało w pewnym okresie nasze istnienia. Było to w czasach, kiedy okupacja hitlerowska już się kończyła; Niemcy pakowali się i wyjeżdżali, a przez naszą granicę przelewała się armia sowiecka. Uradziliśmy w naszym gronie, że uciekniemy zagranicę, jak wielu to czyniło. I wtedy Dziadek i nasi Ojcowie stanowczo się temu sprzeciwili i wyperswadowali nam tę wyprawę. I chwalił im za to.

Letnią porą znikaliśmy z domów na całe godziny; braliśmy słoiki na „trofea” i drugie śniadanie dla podtrzymania sił. Chodziło się w mało znane okolice Krakowa, odległe nie więcej, niż 10 km i wyszukane wcześniej na mapie. Trofeami były zawsze jakieś istoty żywe – ryby napotkane w stawach lub rowach, rozwiłki (świetne pożywienie dla rybek akwaryjnych) larwy wodne czy gąsienice, które hodowało się dalej w domu. Każdy miał swoje akwarium, czasem terrarium (ze starego słoja akumulatorowego). Największe kłopoty mieliśmy z żywieniem tych stworzeń. Zdarzało się, że efekty hodowli były zupełnie nieoczekiwane. Któregoś roku przywiozłem z wakacji w Sienawie kilka ogromnych gąsienic, wielkości mojego palca, żerujących na mleczu iglastym (przynajmniej tu było wiadomo, czym się żywią). Hodowałem je dalej w domu – znalezienie takiego mlecza nie było trudne. Trwało to do późnej jesieni, aż któregoś dnia zauważyłem, że się przepoczwarczają. Zaskakującym było zobaczyć to w warunkach domowych. Poczwarki również miały olbrzymie rozmiary. Gdy się je leciutko nacisnęło, ruszały „odwłokiem” – tak sprawdzałem w ciągu zimy, że żyły. Poczwarki przeżyły do wiosny, a wtedy dwie z nich rozwinęły się w piękne ćmy, jakich nigdy przedtem nie widziałem. Wypuściłem je na wolność zanim poszarpały sobie skrzydła...

Sporo czasu spędzaliśmy razem na wykonywaniu najrozmaitszych zabawek, modeli, obiektów pływających i latających, które budziły nasze zainteresowanie od najwcześniejszych lat młodzieńczych. Obok latawców najprostszej konstrukcji, robiliśmy także szybowce. Początkowo projektowane na kartonie odręcznie, w czym wodził prym Sławek i sklepane, puszczane były z okien naszych domów na podwórza. Później kupowaliśmy projekty większych szybowców do sklepania, w tym jeden całkiem duży (rozpiętość skrzydeł chyba ze trzy metry). W jego konstrukcji – prócz kartonu – używało się listewek z balsy (nadmierzaj lekkie drewno). Ten model w końcowej fazie właściwie był samolotem, ponieważ domontowaliśmy śmigło, nie przewidziane w planach fabrycznych. Śmigło wycięte zostało przez Sławka na wzór oryginalnych śmigieł lotniczych; wprawiane było w obrót poczwórnym splotem gumy modelarskiej (była taka!), biegnącym od śmigła do ogona (pomysł również Sławka). W modelu o takich rozmiarach dość istotną rzeczą jest jego dobre wyważenie, mające zapewnić możliwie długotrwały lot z bezpiecznym lądowaniem. Jest to rzecz trudna do osiągnięcia, ponieważ w czasie ruchu śmigła powstają dodatkowe siły.

Niejednokrotnie wracaliśmy z „próbnych lotów” z uszkodzonym modelem.

Naturalnie czytaliśmy wszyscy broszurki opisujące zasady działania napędu odrzutowego. To był fascynujący typ silnika! Postanowiliśmy coś takiego zrobić, w czym była szansa też i dla mnie. U spodu kartonowego modelu szybowca podwieszaliśmy rurkę, z papieru, wypełnioną szybko spalającą się mieszaniną (węgiel drzewny + siarka + chloran potasu, drobno sproszkowane). Dobrze wyważenie takiego obiektu w trudnych do przewidzenia warunkach, jak duża szybkość, podmuchy powietrza, kiepska stabilność ustawienia lotek skrzydeł i ogona – jest niemal niemożliwa do uwzględnienia. Toteż nasze modele rzadko pokonywały odległości większe od 10 m.

Były w tamtym czasie w handlu małe lódeczki, kształtem przypominające motorówki, o nazwie „pif – paf”. Nalewało się do zbiorniczka trochę denaturatu, zapalało knot i puszczano na wodę. Przy akompaniamencie szybkich „pif – paf”, co brzmiało jak „prrrrrrr” szybko powiedziane, łódka „zasuwała, jak mały samochódzik” ku uciesze i zdumieniu wszystkich obserwatorów. Próbowaliśmy dociec jak to „prrr” powstaje, ale zadowalającego wyjaśnienia nie udało się znaleźć. Wykonywaliśmy też różne obiekty pływające (znowu Sławek). Były to „dłubanki” z kory, drewna, często z żaglami, pływające „na uwięzi”. Od jakiegoś czasu nurtował nas problem zrobienia kajaka „z prawdziwego zdarzenia”, którym my sami moglibyśmy pływać.

Żdzisek (Stukus) pracował w warsztacie naprawy samochodów. Po jakimś czasie znał się na ich konstrukcji i działaniu na tyle dobrze, że postanowił zabrać się do wykonania modelu jednocylindrowego silnika do napędu – jeżeli się nie mylę – szybowca. Paliwem miał być eter, którego pary zmieszane z powietrzem mają własność samozapłonu przy niewielkim sprężeniu. Nie trzeba było jednak dobrze zaplanować wielkość cylindra i skok tłoka, aby przy szczytowym ciśnieniu mieszanki osiągnąć samozapłon. Oczywiście sprawa polegała na przeróbce i dostosowaniu jakiegoś małego, fabrycznego silnika do naszych celów, ponieważ nie dysponowaliśmy odlewnią metali. Rzecz cała odbywała się w domu przy niedalekiej ulicy Topolowej, gdzie mieszkał Stukusowie. W korytarzu, na drugim piętrze, znajdował się solidny stół, do którego przykręcone było także solidne imadło. Do tego imadła przykręcał Żdzisek swój model i prowadził jego „remont” – pozostali chłopcy raczej się tylko przypatrywali. Przykręcenie do imadła

traktowaliśmy jako gwarancję ujarzemia mocy silnika na „wypadek”, gdyby zastartował. Ale takiego wypadku nie było... Żdzisek tak łatwo jednak nie rezygnował: wymienił ten model na inny, benzynowy. Po długotrwałym remoncie nawinał na koło zamachowe pasek od spodni, szarpnął i... poooooooooo! Spróbujcie sobie wyobrazić ten straszliwy jazgot w długim korytarzu, który zaraz też wypełnił się kłębami niebieskich spalin. Ale sukces i nasz aplauz był pełny.

Największym jednak osiągnięciem naszych rąk było wykonanie kajaka, zdatnego do żeglugi. Już nie wiem, jak weszliśmy w posiadanie rysunków i planów składania różnych elementów – to była spora książka. Zacząć trzeba było jednak od znalezienia miejsca na „stocznię” – prowadzenie robót w naszych domach przekraczałoby cierpliwość i tolerancję rodziców, no i współlokatorów (zastanawialiśmy się również nad tym, jak wyniesiemy kajak z mieszkania?). Było dobre miejsce na stocznię: w kamienicy przy ul. Lubomirskiego 9 nie było oficyny. Na parceli, najwyraźniej przeznaczonej do zabudowy, znajdował się ogród: trochę krzewów, trochę kwiatów i zarośla. Poszedłem do Wagów, właścicieli posesji. Przyjęła mnie Wagowa, nieco zrzędliva staruszka – dość niechętnie wyraziła zgodę, dorzucając garść przykazań o konieczności starannego posprzątania (entuzjazmu nie oczekiwaliśmy). Zakupiliśmy deski w tartaku (gdzie to było?): szerokie, kilkumetrowej długości na burty, jeszcze szersze do wycięcia żeber kajaka, różnego rodzaju listwy, klejonka na pokład, deska podłogowa i cały szereg innych, potrzebnych rzeczy. Zaraz na początku zaczęło się dziać źle: potrzebowaliśmy na burty desek półcalowych (12 mm), które po zestruganiu wierzchnich warstw miały mieć grubość 8 mm. Tymczasem tartak o tych wymiarskich miał tylko grubości calowe... Czy możesz sobie wyobrazić, Czytelniku, ile wiórów powstanie po zestruganiu 16 mm deski o powierzchni w przybliżeniu 3 metrów kwadratowych? Jakkolwiek byś to oszacował – było ich znacznie więcej. Pożyczaliśmy dwa strugi od mego Ojca i harataliśmy całymi dniami, aż... wióry szły. Trzeba było sprzątać, zanim wiatr ich nie poroznosił. Po wyjęciu wszystkich sęków i zaklejeniu dziur, burty były gotowe. Trzeba też było wyciąć kilkanaście żeber o przekroju rosnącym – największe wypadały, oczywiście, w środku kajaka – a potem znów malejącym. Wycinanie, struganie, klejenie, przykręcanie – to wszystko zabrało parę miesięcy czasu. Zajęci byliśmy przy tym we trójkę: Sławek, Żdzisek i ja; Poldek zbyt często zajęty był biegiem na rand-

ki, a Edek czasami zachodził, w mundurze kadeta, stawał w rozkroku i częstował nas złotymi radami. Ale kiedy przyszło lato – kajak mieliśmy gotowy. Ciężki był, jak mała kanonierka. Czym myśmy to transportowali nad Wisłę? – już nie pamiętam. Zanurzyliśmy to pełni nadziei na pływaniu, a kajak tymczasem zaczął tonąć; dziurawy był, jak rozeschnięta balia. Trzeba go było zabrać do domu i znowu: kitowanie, skrobanie, suszenie, malowanie... Roboty trwały bez końca. Jeśli się nie mylę, dopiero w następny rok mogliśmy wypłynąć. Tymczasem załatwiliśmy sobie miejsce w Akademickim Klubie Sportowym, który położony był nad samą Wisłą i wyraził zgodę na przygarnięcie nas. Po wielokrotnych jeszcze próbach szczelności odważyliśmy się w końcu wypłynąć na wodę. Zaraz też okazało się, że „wystajemy za mało nad pokład” – siedzieliśmy wszak na podłodze z braku krzesełek wiosłarskich – wiosłowanie jest wtedy ogromnie utrudnione. Dopiero po pożyczaniu (?) krzesełek poszliśmy na pełny nurt, który w Wiśle jest dość bystry. Szczególnie przełom Wisły w pobliżu klasztoru Sióstr Norbertanek jest groźny: wskutek znacznego zwężenia koryta rzeka płynie tam dość prędko. Przed każdą wyprawą badaliśmy, jaki jest kierunek wiatru: najlepszy był wschodni, gdyż nie tylko zapowiadał dobrą pogodę ale i wspomagał wiosłowanie w górę rzeki. A przy przejściu pod Norbertankami to się bardzo liczyło. W czasie pewnej wyprawy mieliśmy wiatr „w dziób” i mimo intensywnego wiosłowania staliśmy naprzeciw klasztoru w miejscu! Dopiero wypatrywanie słabszego nurtu pozwoliło powoli posuwać się naprzód.

Do naszych zajęć należały też prace „strzelecko – kanonierskie”, ale zupełnie bez użycia broni. Jakoś właśnie rozszyfrowałem słowo: „proch” i zacząłem rozróżniać potoczne jego znaczenie od „prochu strzelniczego”. Miałem już za sobą doświadczenia z „saletrą”, analogiczne jak z magnezją i wiedziałem też już co nie co o chloranie potasu, $KClO_3$.

Zaczęliśmy więc robić ten proch strzelniczy mieszając sproszkowany chloran z węglem drzewnym, którego było pod dostatkiem (do żelazek do prasowania), dodając trochę siarki. Spalało się to dość szybko. Dla spowolnienia umieszczaliśmy porcję mieszaniny w rurze żelaznej o świetle kilkanaście mm, której jeden koniec zamknięty był plombą ołowianą (używaną przez nas do produkcji „Zośki”³), drugi – takżę plombą z małym otworkiem. Przez otworek przetykany był „lont” (z tym był problem), który zapalano. Rurkę kładziono przy krawężni-

ku chodnika, najczęściej na przeciw bramy domu nr 5, wieczorem, gdyż wtedy najlepiej widać było ostry i barwny płomień, który dobywał się z rurki. Pech chciał, że jedna z rurek eksplodowała. Czy to mieszanka była specjalnie dobrze dobrana i ubita, czy otworek dostatecznie mały – dość, że po zapaleniu lontu płomyk jakby zupełnie przysnął, po czym rozległ się wystrzał karabinowy.

– Das musste irgendwo hier geschossen sein! – krzyknął jeden z dwu żołnierzy wyłaniających się zza rogu. – Ja, ja – odkrzyknąłem w ich stronę – in der Querstrasse!? Pobiegli z powrotem, a my zrobiliśmy to samo w stronę przeciwną. Niezbyt spieszenie dotarliśmy Rakowicką do ulicy Topolową, gdzie mieszkał Zdzisław Stukus. Wieść o wypadku rozeszła się dość szybko. Spróbujcie sobie wyobrazić, co przeżywali ojcowie i matki w oczekiwaniu na nasz powrót. A powrót ten nastąpił tuż przed godziną 22, bez dalszych przygód. Opowiadano nam, że owi żołnierze wrócili i długo coś deliberovali przy żelazku, które chwilę przed naszym eksperymentem dozorczeni domu nr 5 wyniosła na chodnik dla wystudzenia. Żelazko to przewróciło się i wysypały się z niego węgle – „pewnie coś z tym żelazkiem...” – wyjaśniali sobie mieszkańcy domu.

Niedługo później „wydarzyło się” jeszcze jedno bum! Buszując po sklepie Chemo – Techniki któregoś dnia kupiłem porcję czerwonego fosforu. Biały – o który mi głównie szło – też mieli, ale nie chcieli mi go sprzedać (stwierdzili, że był zbyt łatwopalny na moje lata). Ale i ten czerwony trzeba było wypróbować. Zmieszałem więc (piórkami!!!) maleńką porcję z KClO₃, superdelikatnie zawinałem w papier a potem rąbnąłem młotkiem. Owszem – huknęło jak z armaty, i w całkiem krótkim czasie zebrała się u nas grupka zaniepokojonych sąsiadów. O co pytali, nie wiem, bo byłem zupełnie głuchy – reklamacje przyjmował mój Tato. Z jego relacji wiem, że pytali czy się coś nie zawaliło – on odpowiadał, że nie, to tylko syn robi eksperymenty...

W styczniu 1945 było już widoczne, że wojna się kończy szybkimi krokami. Mieliśmy wtedy prawie po dwadzieścia lat i czuliśmy, że możemy dokonać wszystkiego, a może nawet więcej. Matka Sławka, Pani Izabela, była nauczycielką w szkole podstawowej. Uczyla dzieci języka polskiego i rachunków dosłownie w takim miejscu, w którym diabeł babie dobranoc powiedział. To miejsce było małą, nikomu nieznaną wioską o nazwie Stępcovice i leżało na trasie kolejki wąskotorowej, prowadzącej z Miechowa do jakiegoś innego miasteczka. Tam właśnie

ukrywał się Sławek przed branką niemiecką, gdy ja skrywałem się na kolei. Kiedy od wkroczenia Rosjan minęło kilkanaście dni i nie było od niej żadnej wiadomości – nawet nie było pewne czy żyje, gdyż walki z partyzantką były w tej okolicy zażarte – postanowiliśmy obaj ze Sławkiem, że pójdziemy zobaczyć, co się tam stało. Właśnie zamierzaliśmy „pójść”, a nie pojechać, bo nie było czym. Pociągów chodzących regularnie jeszcze nie było, a o podróżowaniu kolejką wąskotorową nawet nie było co marzyć.

I oto któregoś zimowego poranka (koniec stycznia!) wstaliśmy o szóstej rano i wyszli z ciepłych domów. Obaj mieliśmy plecaki zaopatrzone w żywność na całą drogę – ale mieliśmy także małą maszynkę spirytusową na paliwo stałe – tak zwany esbit. Był to materiał idealny wręcz na wycieczki, przede wszystkim dlatego że nie był cieżką i prawie niczym go nie było czuć. Ta maszynka dostarczała nam gorącego pożywienia, gorącej herbaty; to było jedyne źródło ciepła, na które mogliśmy liczyć. Siadaliśmy, gdzie popadnie: śnieg wszędzie był biały. Tyle tylko, że po południu zaczynała się odwilż i robiło się wilgotno.

Na trasie wąskotorówki znaleźliśmy się o zmroku. Nie znając drogi, trzymaliśmy się toru kolejowego. Było to konieczne, ale trochę niebezpieczne na mostach. Partyzantka uszkodziła bowiem przejazdy, także zwrotnice, wysadziła mostki i trzeba było bardzo uważać, by nie wpaść do lodowato zimnej wody... Na miejsce dotarliśmy około 11 w nocy, po przebyciu – jak Sławek oszacował na podstawie mapy – 75 – 80 km w ciągu non – stop 17 godzin (wliczając 3 – 4 przystanki na jedzenie). Była to najdłuższa wycieczka piechotą, jaką zrobiłem w całym życiu... Mimo podjętych ostrożności, moim pojawieniem się wywołaliśmy szok, ponieważ absolutnie nikt się nas nie spodziewał. Po wstępnej wymianie informacji poszliśmy spać, każdy transportując swoje nogi rękami na łóżko. Spaliśmy podobno półtorej doby.

Powrót już był trochę lepszy, bo mniej – więcej połowę trasy odbyliśmy przygodnie spotkanym samochodem. Po przyjeździe do krakowskiego domu przez jakiś tydzień chodziliśmy kulejąc, ale w glorii – potem wszystko wróciło do normy. Podróżowania na jakiś czas mieliśmy dosyć.